



# JULIAN FELLOWES

POWIEŚĆ TWÓRCY *DOWNTON ABBEY*

## CZAS PRZESZŁY NIEDOSKONAŁY

PRZEŁOŻYŁA BARBARA KOPEĆ-UMIĄSTOWSKA

MARGINESY



JULIAN  
FELLOWES

CZAS PRZESZŁY  
NIEDOSKONAŁY

PRZEŁOŻYŁA  
BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

MARGINESY

*Dla Emmy i Peregrine'a, bez których nigdy nic bym nie napisał.*

*Past Imperfect*

COPYRIGHT © Julian Fellowes 2008  
FIRST PUBLISHED IN GREAT BRITAIN IN 2008 BY  
Weidenfeld & Nicolson, London.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Barbara Kopeć-Umiastowska  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,  
WARSZAWA 2017

Damian

Londyn to dla mnie dzisiaj miasto nawiedzone, a duchem, który w nim straszy, jestem ja sam. Gdy przemierzam ulice, chodząc za swoimi sprawami, każda aleja, zaułek i plac szepcze mi o innej, wcześniejszej epoce mojego życia. Najkrótszy spacer przez Chelsea lub Kensington prowadzi mnie obok jakichś drzwi, niegdyś otwartych dla mnie na oścież, gdzie teraz byłbym kimś obcym. Widzę siebie znów młodego, jak wyruszam na poszukiwanie zapomnianych już dzisiaj igraszek, wystrojony w coś przypominającego ludowy strój z jakiegoś bałkańskiego kraju rozdartego wojną. Te powiewające spodnie dzwony, te falbaniaste koszule z piłkarskimi kołnierzymi – co nam strzeliło do głów? I widzę, jak w ślad za moją dawną, szczuplejszą personą podążają widma nieobecnych – rodziców, ciotek i babek, stryjecznych dziadków i kuzynów, przyjaciół i dziewczyn – których już nie ma i nie będzie w tym niewielkim kawałku życia, jaki mi jeszcze pozostał. Powiadają, że człowiek zaczyna się starzeć, kiedy przeszłość wydaje mu się bardziej realna od teraźniejszości, przyznają więc, że czuję, jak minione dekady zaciskają palce na mojej wyobraźni, podczas gdy nowe wspomnienia są szare i wyblakłe.

Co znakomicie wyjaśnia, dlaczego, mimo zaskoczenia, byłem odrobinę zaintrygowany, kiedy wśród rachunków, podziękowań i prośb o wsparcie, jakie codziennie piętrzą się na moim biurku, znalazłem list od Damiana Baxtera. Z pewnością się go nie spodziewałem. Ostatni raz widziałem Damiana niemal czter-

dzieści lat temu i od tamtej pory nie miałem z nim kontaktu. Być może to dziwne, jednak życie spędziliśmy w innych światach i chociaż Anglia pod wieloma względami uchodzi za kraj niewielki, to wciąż jest dostatecznie duża, żeby przez ten czas nasze drogi się nie przecięły. Ale istniał też inny powód mojego zaskoczenia, znacznie prostszy.

Nienawidziłem go.

Od pierwszego rzutu oka poznałem, kto napisał ten list. Pismo na kopercie było znajome, choć zmienione, niczym twarz ukochanego dziecka dotknięta nieubłaganym upływem czasu. Lecz nawet jeśli kiedykolwiek wspominałem Damiana, to z pewnością nie przyszłoby mi na myśl, że cokolwiek na świecie mogłoby go skłonić, by do mnie napisał. Albo żebym ja napisał do niego. Muszę od razu zaznaczyć, że nie poczułem się dotknięty niespodziewaną przesyłką. Bynajmniej. Zawsze to miłe dostać wiadomość od starego przyjaciela – choć w moim wieku jeszcze większą ciekawość, jeśli jakąś w ogóle, wywołuje wiadomość od starego wroga. Wróg, inaczej niż przyjaciel, czasem powie nam o przeszłości coś, czego sami nie wiemy. A Damian, choć nie przejawiał aktywnej wrogości, był moim byłym przyjacielem, co oczywiście znacznie pogarszało sprawę. Rozstaliśmy się skłóceni, w chwili wścieklej, niekontrolowanej furii, całkiem świadomie podsycanej ogniem palonych mostów, i każdy z nas poszedł w swoją stronę, nie podejmując próby naprawienia szkód.

List był szczery, tyle muszę przyznać. Anglicy starają się uniknąć „niezręcznych” sytuacji, spowodowanych wspomnieniami o ich dawnych grzeszkach. Zazwyczaj wszelkie przykre epizody z przeszłości zbywają od niechcenia ogólnikami typu: „A pamiętasz ten straszny wieczór u Jocelyn? Jak myśmy w ogóle dali radę to przeżyć?”. Albo, gdy incydent naprawdę nie da się tak rozładować, wolą udawać, że w ogóle się nie zdarzył. Zagajenie: „Szkoda, żeśmy się tak długo nie widzieli”, najczęściej można przetłumaczyć jako: „Nie mam ochoty ciągnąć tego sporu. To było całe wieki temu. Dajmy

sobie z tym spokój, dobrze?”. Jeśli rozmówca się zgadza, również sformułuje odpowiedź w sposób podobnie wypierający prawdziwe uczucia: „Tak, tak, musimy się spotkać. Co porabiałeś po odejściu z Lazarda?”. To w zupełności wystarczy, by oznajmić, że nieprzyjemności się skończyły i można podjąć normalne stosunki.

W tym wypadku jednak Damian zrezygnował z tej powszechnej praktyki. W istocie jego szczerość miała charakter zgoła latynoski: „Przypuszczalnie po tym wszystkim, co się stało, nie oczekiwałeś, że kiedykolwiek się jeszcze odezwę, niemniej byłbym ci ogromnie wdzięczny, gdybyś zechciał mnie odwiedzić – pisał spiczastym i wciąż trochę gniewnym charakterem pisma. – Wprawdzie nie widzę, dlaczego miałbyś to zrobić po naszym ostatnim spotkaniu, ale ryzykując zarzut dramatyzowania, powiem, że nie zostało mi zbyt wiele życia i wyświadcysz przysługę umierającemu, co być może ma dla ciebie znaczenie”. Przynajmniej nie można mu było zarzucić, że kluczy ogródkami. Przez chwilę udawałem przed sobą, że jeszcze się zastanawiam, ale oczywiście od razu wiedziałem, że do niego pójde – że muszę zaspokoić ciekawość i z rozmysłem wrócić do krainy młodości. Albowiem pojawiając się w moich myślach, Damian, z którym nie miałem kontaktu od lata 1970 roku, nieuchronnie przypominał mi, jak dalece i boleśnie zmienił się mój świat, podobnie, na dobrą sprawę, jak świat nas wszystkich.

Wiem oczywiście, że to bardzo groźne, ale przestałem już walczyć ze smutnym przeświadczeniem, że sceneria, w której dorastałem, była znacznie słodsza niż obecna. Dzisiejsza młodzież, broniąc, co rozumiało, swojej własnej epoki, zazwyczaj lekceważy naszą pamięć o złotym wieku, kiedy to klient miał zawsze rację, pomoc drogowa kłaniała się kierowcom, a policjanci salutowali nam na powitanie. Chwała Bogu, że czołobitność się skończyła, powiadają, ale czołobitność była częścią świata ładu i stabilizacji – świata, który, gdy patrzę wstecz, wydaje mi się ciepły, wręcz dobry. Gdy dobroci Anglii sprzed pół wieku brakuje mi chyba najbardziej. Ale znów czego właściwie mi żal, tej dobroci czy mojej młodości?

– Nie bardzo rozumiem, kto to jest ten cały Damian Baxter. Dlaczego on jest taki ważny? – zapytała Bridget, gdy tamtego wieczoru siedzieliśmy w domu, jedząc zbyt drogą i niedogotowaną rybę kupioną u przymilnego lokalnego Włocha na Old Brompton Road. – Nigdy nie słyszałam, żebyś o nim mówił.

List Damiana dostałem właściwie nie tak dawno temu, kiedy wciąż jeszcze mieszkałem przy Wetherby Gardens, w dużym, wygodnym mieszkaniu na parterze, dobrze położonym względem tego i owego, i świetnie umiejscowionym w stosunku do kultury „na wynos”, która przez ostatnie kilka lat tak nas opanowała. Był to, na swój sposób, całkiem elegancki adres i z pewnością nie mógłbym sobie pozwolić na ten lokal, gdyby nie fakt, że rodzice już dawno go na mnie przepisali, ostatecznie porzucając Londyn. Ojciec usiłował się temu sprzeciwić, skapitulował jednak, gdy matka, dość nierozważnie, uparła się, że „muszę od czegoś zacząć”. Tak więc skorzystałem na ich szczodrości, co więcej, zamierzałem tu nie tylko zacząć, ale i zakończyć. Prawdę mówiąc, od czasów mojej matki nie zmieniłem wiele w tym mieszkaniu i wciąż było tu pełno jej rzeczy. Rozmowę toczyliśmy przy jej okrągłym stoliku pod oknem i podejrzewam, że chyba całe wnętrze – urocze mebelki z okresu Regencji, portret kędzierzawego chłopięcego przodka nad kominkiem – sprawiałyby wrażenie bardzo kobiecego, gdybym nie umacniał swej męskości, demonstrując całkowity i ostentacyjny brak zainteresowania jego urządzeniem.

W chwili incydentu z listem Bridget FitzGerald była moją najnowszą... miałem zamiar napisać „dziewczyną”, ale nie jestem pewny, czy po pięćdziesiątce jeszcze miewa się „dziewczyną”. Z drugiej strony, człowiek już za stary na „dziewczynę” wciąż jeszcze jest za młody na „towarzyszkę życia”, jakie więc określenie byłoby właściwe? Współczesny język skradł nam tak wiele słów, których następnie zaczął nadużywać, że często, szukając czegoś odpowiedniego, odkrywamy, że szafa jest pusta. „Partner”, jak wie każdy, kto nie pracuje w mediach, to termin tyleż zużyty, co niebezpieczny. Nie-

dawno przedstawiłem dyrektora firmy, której jestem właścicielem, jako swego partnera, i dopiero po pewnym czasie pojąłem, dlaczego ludzie sądzący, że mnie dobrze znają, obrzucają mnie dziwnymi spojrzeciami. „Druga połowa” brzmi jak kwestia z sitkomu o sekretarzu klubu golfowego, a do „mojej kochanki” jeszcze nie doszliśmy, chociaż przypuszczalnie niewiele nas od tego dzieli. Tak czy inaczej Bridget i ja pokazywaliśmy się razem na mieście, choć jako para byliśmy trochę niedobrani – ja, powieściopisarz i półcelebryta, i ona, bystra irlandzka bizneswoman, specjalizująca się w nieruchomościach, która spóźniła się na swój wielki romantyczny rejs i w końcu wylądowała w jednej łódce ze mną.

Moja matka nie byłaby zadowolona, ale moja matka nie żyła i teoretycznie wypadła z gry, chociaż nie jestem pewny, czy dezaprobata rodziców, żywych czy umarłych, kiedykolwiek przestaje nas dosięgać. Oczywiście niewykluczone, że za grobem złagodniała, ale raczej w to wątpię. Może powinienem był posłuchać jej pośmiertnych wskazówek, nie da się bowiem ukryć, że nie mieliśmy z Bridget wiele wspólnego. Trzeba jednak przyznać, że była inteligentna i przystojna, chyba bardziej niż na to zasługiwałem, a ja czułem się samotny i miałem dosyć telefonów od znajomych zapraszających mnie w niedzielę na obiad. Nieważne – w każdym razie odnaleźliśmy się nawzajem i chociaż technicznie żyliśmy oddzielnie, gdyż Bridget miała własne mieszkanie, to przez parę lat truchtaliśmy wespół całkiem zgodnie. Nie była to, ściśle biorąc, miłość, ale było to coś.

W pytaniu Bridget dotyczącym listu Damiana rozbawił mnie właścicielski ton. Zawsze go używała, mówiąc o mojej przeszłości, o której z definicji nie mogła wiedzieć nic albo prawie nic. Sformułowanie: „Nigdy nie słyszałam, żebyś o nim mówił”, może oznaczać tylko jedno: gdyby ten facet był ważny, to coś byś o nim powiedział. Albo, co gorsza, powinieneś być coś powiedzieć. Stawia to część popularnej fantazji, że kiedy się z kimś jest, to zyskuje się prawo, żeby wiedzieć o nim wszystko w najmniejszych szczegółach, co rzecz jasna jest całkowicie niemożliwe. „Nie mamy żadnych

tajemnic” – mówią wesołe młode twarze w filmach, podczas gdy, jak dobrze wiemy, całe nasze życie jest pełne tajemnic, często skrywanych przed samymi sobą. W tym wypadku Bridget niepokoiło to, że skoro ten Damian był dla mnie kimś ważnym, a nigdy o nim nie wspomniałem, to jakie jeszcze inne ważne rzeczy przed nią zataiłem? Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że również jej przeszłość – tak jak moja i nas wszystkich – była, w rzeczy samej, zamkniętą szkatułką. Czasem pozwalamy komuś do niej zerknąć, lecz zwykle pokazujemy tylko to, co na wierzchu. Mroczniejsze strumienie naszej pamięci wolimy pokonywać w pojedynkę.

– Przyjaźniliśmy się w Cambridge – odparłem. – Poznaliśmy się na drugim roku, mniej więcej wtedy, kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych zaliczałem londyński Sezon\*. Przedstawiłem go kilku dziewczynom. Przygarnęły go i przez jakiś czas biegaliśmy razem po Londynie.

– Bawidamki – powiedziała z mieszanką humoru i drwiny.

– Cieszę się, że moje wczesne lata zawsze przywołują uśmiech na twoje wargi.

– Więc co się stało?

– Nic się nie stało. Po studiach nasze drogi się rozeszły, nie ma o czym mówić. Po prostu każdy poszedł w swoją stronę. – Mówiąc to, oczywiście kłamałem.

Przyjrzała mi się; najwyraźniej usłyszała więcej, niż zamierzałem powiedzieć.

– Zakładam, że jeśli do niego pójdziesz, to będziesz chciał iść sam.

\* Sezon, londyński Sezon – nawiązujące do osiemnastowiecznej tradycji coroczne wydarzenie w życiu towarzyskim angielskich klas wyższych; okres rautów, przyjęć i balów, na który przedstawiciele arystokracji i bogatego ziemiaństwa przyjeżdżali z rodzinami do stolicy. Sezon zaczął tracić swój tradycyjny charakter już po I wojnie światowej, a od lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku nie miał już charakteru oficjalnej uroczystości związanej z dworem królewskim (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza lub redakcji).

– Tak. Pójdę sam – odparłem bez dalszych wyjaśnień, ale muszę uczciwie przyznać, że o nic więcej nie pytała.

Kiedyś sądziłem, że Damian Baxter to mój wynalazek, jednak takie przekonanie świadczy jedynie o braku doświadczenia. Wszyscy wiedzą, że najgenialniejszy magik świata potrafi wyciągnąć królika z kapelusza tylko wtedy, gdy królik w ogóle tam jest, niechby jak najlepiej schowany. Jeśli więc Damian – co uznałem za swoją zasługę – odniósł jakiś sukces, to dlatego, że autentycznie posiadał zalety, dzięki którym ten triumf był możliwy, a nawet nieunikniony. Niemniej nie wierzę, że jako młody człowiek zdołałby, przynajmniej w tamtych czasach, zabłysnąć towarzysko bez pewnej pomocy. I ja mu jej udzieliłem. Może właśnie z tego powodu jego zdrada wzbudziła we mnie tak palącą niechęć. Starłem się, jak mogłem, robić dobrą minę do złej gry, niemniej cios był bardzo bolesny. Trilby zdradziła Svengalego\*, Galatea zniszczyła marzenie Pigmaliona.

„Každy dzień i każda pora będzie odpowiednia – donosił list. – Już nie wychodzę i nie przyjmuję gości, więc jestem całkowicie do Twojej dyspozycji. Jak zobaczysz, mieszkam całkiem blisko Guildford. Samochodem droga zajmuje do półtorej godziny, ale pociągiem jest szybciej. Daj mi znać, a załatwię, żeby wskazano Ci drogę, albo wyślę kogoś po Ciebie na stację, jak wolisz”. W końcu przestałem więc udawać, że się waham, i odpisałem, proponując obiad dnia takiego i takiego oraz podając, którym pociągiem przyjadę. Potwierdził, jednocześnie zapraszając mnie na noc. Ponieważ, podobnie jak Jorrocks\*\*, z reguły wolę „kimać tam, gdzie wcinam”, przyjąłem propozycję i rzecz została ustalona. A zatem pewnego przyjemnego czerwcowego wieczoru wyszedłem przez barierkę z peronu w Guildford.

\* Trilby, Svengali – bohaterowie powieści George’a du Mauriera *Trilby* z 1895 roku.

\*\* Mr. Jorrocks – komiczny bohater opowiadań Roberta Smitha Surteesa (1805–1864), mówiący londyńską gwara.



Właśnie rozglądałem się niepewnie, spodziewając się jakiegoś przybysza z Europy Wschodniej, trzymającego nagryzmołoną flammastrem karteczkę z moim błędnie napisanym nazwiskiem, gdy ujrzałem, że zbliża się do mnie szofer w liberii – lub ktoś o wyglądzie aktora grającego rolę szofera w odcinku serialu *Poirot* – który uniósłszy czapkę z daszkiem, przedstawił się cicho i uniżenie, po czym zaprowadził mnie na placyk przed dworcem, gdzie na miejscu dla niepełnosprawnych stał nielegalnie zaparkowany nowiuteńki bentley. Piszę „nielegalnie”, mimo że na szybie widniała wyraźna naklejka, bo jak sądzę, nie rozdaje się ich tylko po to, by goście wysiadający z pociągu nie zamoczyli nóg i nie dźwigali walizek zbyt daleko. Ale, z drugiej strony, każdemu czasem należy się jakiś bonus.

Wiedziałem, że Damianowi się powodzi, chociaż nie pamiętałem już, gdzie i jak zrobił majątek, bo nie mieliśmy wspólnych kumpli i obracaliśmy się w całkiem różnych kręgach. Pewnie widziałem jego nazwisko na liście „Sunday Timesa” albo na stronach finansowych gazety. Nie sądzę jednak, bym do tego wieczoru zdawał sobie sprawę, jak dobrze jest sytuowany. Gdy pędziliśmy po wąskich drogach Surrey, wśród strzyżonych żywopłotów, świeżo fugowanych murków, trawników przypominających stoły bilardowe i lśniących, wypielonych zwirowanych podjazdów, było dla mnie coraz bardziej jasne, że wjeżdżamy do Królestwa Ludzi Bogatych. Żadnych zrzuconych filarów przy bramach, żadnych pustych stajni i stróżówek o ciekających dachach. Tu nie wchodziła w grę tradycja czy miniona świetność, lecz żywa obecność pieniądza.

Mam w tej kwestii pewne doświadczenie. Jako umiarkowanie wzięty pisarz ocieram się – jak mawiała moja niania – o „różnych takich”, ale nie mogę udawać, że kiedykolwiek należałem do tego towarzystwa. Tak zwani bogacze, których znam, to na ogół właściciele nie nowo powstałych fortun, lecz takich, które ocalały – ludzie bogaci, ale niegdyś znacznie bogatsi. Tymczasem domy, które mijałem, należały do Nowych Pieniędzy, a to całkiem co innego. Ich aura, wrażenie bezpośredniej mocy, jest niesłychanie ożywcza.

Rzecz osobliwa, ale nawet dzisiaj w stosunku do nuworyszów istnieje w Wielkiej Brytanii pewien snobizm. Jak można się spodziewać, tradycyjna prawica zadziera wobec nich nosa, niemniej, paradoksalnie, dorobkiewiczze spotykają się również z potępieniem intelektualnej lewicy. Nawet nie próbuję zrozumieć, jak to się ma do wiary tych ostatnich w równość szans. Być może w swoich przekonaniach przestali już dążyć do syntezy i kierują się w życiu sprzecznymi odruchami, co w pewnym stopniu robimy wszyscy. Jednak nawet jeśli w młodości sam zawiniłem takim brakiem wyobraźni, to teraz kompletnie się z niego wyzwoliłem. Obecnie darzę bezwstydnym podziwem kobiety i mężczyzn, którzy zrobili kasę, podobnie jak podziwiam każdą osobę, która widząc, jaką przyszłość zaprojektowano dla niej już w chwili narodzin, nie waha się podrzeć tych planów na strzępy i obmyślić dla siebie coś lepszego. Ludzie, którzy wszystko zawdzięczają tylko sobie, mają większe szanse znaleźć taki sposób życia, jaki im naprawdę odpowiada. Chwała im za to i chwała ich kosztownemu światu. Oczywiście w wymiarze osobistym fakt, że należał do niego również Damian Baxter, straszliwie działał mi na nerwy.

Dom, który wybrał jako scenografię dla swej glorii, nie był wszakże pałacem podupadłego szlachcica, lecz jednym z tych pokazowo cnotliwych, sielskich labiryntów w stylu arts and crafts, pełnym zakamarków wprost z filmów Disneya, które jako symbol dobrej starej Anglii są tak samo nieprzekonujące jak wówczas, na przełomie XIX i XX stulecia, kiedy to wyszły z pracowni Lutyensa\*. Otaczał go ogród, tarasowany, wystrzyżony, pocięty schludnymi, za dbanymi ścieżkami, ale na tym chyba kończyły się nawiązania do starodawnej ziemiańskiej tradycji; Damian najwyraźniej nie zdecydował się na taki model. To nie był dwór, który rozsiadł się w zaciszu, otoczony polami uprawnymi. To był po prostu dom sukcesu.

\* Sir Edwin Landseer Lutyens (1869–1944), słynny angielski architekt, nawiązywał do tradycyjnych stylów i koncepcji architektonicznych, projektował m.in. wiejskie rezydencje wraz z założeniami ogrodowymi.

Co powiedziawszy, przyznam, że choć nie był w tradycyjnym sensie arystokratyczny, to robił wrażenie czegoś z lat trzydziestych, jakby zbudował go za brudne pieniądze jakiś spekulant z czasów I wojny światowej. Wprowadzony przez szofera klimat powieści Agathy Christie podtrzymał kamerdyner, który z niskim ukłonem otworzył mi drzwi, a także pokojówka w czarnej sukni, w falbaniastym fartuszkach, która mignęła mi, gdy szedłem w stronę schodów z jasnego dębu – chociaż ona wyglądała nieco bardziej frywolnie, jakbym nagle znalazł się na planie musicalu Gershwina. Dziwne poczucie nierealności całej tej przygody pogłębiło się jeszcze, gdy zostałem zaprowadzony do swego pokoju przed spotkaniem z gospodarzem. Taki schemat zawsze wywołuje lekki dreszczyk grozy. Ciemno odziany sługa, który staje w drzwiach i mamrocze: „Zechce pan zejść do bawialni, sir, kiedy pan będzie gotowy”, bardziej pasuje do spotkania w celu odczytania testamentu niż do towarzyskiej wizyty. Ale sam pokój był bardzo ładny. Ściany pokrywał błękitny adamaszek, z którego uszyto również kotary przy łóżku. Meble były porządne, po angielsku solidne, a obrazki na szkle w chińskim stylu, zawieszane między oknami, wyglądały naprawdę uroczo, nawet jeśli całość nieodparcie przywołała na myśl elegancki prowincjonalny hotel, a nie wiejską posiadłość. To odczucie ostatecznie potwierdziła sensacyjna wręcz łazienka – z ogromną wanną, prysznicem *walk-in*, lśniącymi kurkami na rurach sterujących wprost z podłogi i mnóstwem olbrzymich, nowiuteńkich puszystych ręczników. Jak wiemy, nawet dzisiaj rzadko spotyka się takie detale w prywatnych domach na prowincji. Ogarnąłem się trochę i szedłem na dół.

Jak można było przewidzieć, bawialnia była przepastna, z łukowatym sklepieniem i aż nazbyt sprężystym dywanem, który wymieniono bardzo niedawno. Nie był to futrzak świeżo upieczonego właściciela klubu ani cienki, staroświecki kobierzec przedstawiciela wykwintnej socjety, ale gładki, elastyczny, a przede wszystkim nowy dywan. Wszystko w tym pokoju zostało zakupione za ludzkiej pa-

mięci, najwyraźniej przez jedną osobę. Nie można tu było dopatrzeć się miszmaszu, zbieraniny przedmiotów w najrozmaitszym guście tak charakterystycznej dla wiejskich rezydencji, gdzie zawartość tuzina domów i połączone kolekcje czterdziestu zbieraczy z ostatnich dwustu lub trzystu lat wrzucane są do jednego pomieszczenia. A tu było w porządku. W istocie było znakomicie: meble pochodziły głównie z początków osiemnastego wieku, obrazy z nieco późniejszej epoki, wszystko lśniące czystością, wszystko w doskonałym stanie. Po tym, co widziałem w sypialni, zacząłem się zastanawiać, czy Damian zatrudnia kogoś do zakupów, jakąś osobę, której zadaniem jest nadanie spójności jego życiu. Tak czy inaczej, w tym pokoju nie wyczuwało się żadnej konkretnej osobowości – ani gospodarza, ani właściwie niczyjej. Pokręciłem się tu i tam, rzucając okiem na obrazy, nie bardzo wiedząc, czy mam stać czy usiąść. Prawdę mówiąc, mimo całego splendoru panował tu nastrój opuszczenia; węgiel płonący na kominku nie był w stanie rozproszyć nieco wilgotnej atmosfery, jakby pokój sprzątnięto, ale nikt go od dawna nie używał. Nie było też kwiatów, co zawsze uważam za bardzo znamienne; nic żywego, przez co perfekcja wydawała się trochę banalna, nacechowana sterylną martwością. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby w tworzeniu tego wnętrza jakąś rolę odgrywała kobieta ani tym bardziej, broń Boże, jakieś dziecko.

Od drzwi dobiegł mnie hałas.

– Mój drogi – powiedział głos, wciąż z tym lekkim wahaniem, prawie zająknięciem, które pamiętałem tak dobrze. – Mam nadzieję, że nie czekałeś długo.

Jest taki moment w *Dumie i uprzedzeniu*, gdy Elizabeth Bennet dostrzega swoją siostrę, która wróciła z niegodziwym Wickhamem, ocalona dzięki wysiłkom pana Darcy'ego od niechybnej sromoty. „Lydia wciąż była Lydią” – brzmi jej komentarz. No więc Damian Baxter wciąż był Damianem. To znaczy – barczysty, przystojny młodzieniec o gęstych lokach i beztróskim uśmiechu gdzieś zniknął, zastąpiony przez przygarbioną postać, która najbardziej przywo-

działa na myśl doktora Manette'a\*, mimo to dosłyszałem głębokie, wyostrome poczucie wyższości, zamaskowane specyficznym, nieśmiałym tonem, i natychmiast rozpoznałem dawny, protekcyjny gest wyciągniętej do mnie kościstej dłoni. Uśmiechnąłem się.

– Jak miło cię widzieć.

– Tak?

Spojrzelismy na siebie uważnie, obaj zdumiewając się zasięgiem zmian – a także ich brakiem – jakich wzajemnie dopatrzylismy się w swoich twarzach.

Z bliska zobaczyłem, że kiedy pisał, że jest umierający, była to szczerza prawda. Nie tylko postarzał się przedwcześnie; był chory, bardzo chory, najwyraźniej na drodze bez powrotu.

– A to ciekawe. Chyba jednak mogę tak powiedzieć.

– Cóż, chyba możesz. – Skinął na kamerdynera, który trzepotał się przy drzwiach. – Mogę prosić trochę szampana? – Nie zdziwiło mnie, że po czterdziestu latach nadal ujmuje swoje polecenia w formę lękliwych pytań. Byłem starym weteranem tej sztuczki. Wzorem wielu osób, które jej próbują, Damian wyobrażał sobie, jak sądzę, że sugeruje ona uroczą niepewność, drżące, lecz szlachetne pragnienie, żeby było dobrze. Pragnienie, jakiego – wiedziałem to na pewno – nie odczuwał gdzieś od 1967 roku, a wątpię, czy również wtedy przychodziło mu do głowy. Jednak służący, do którego się zwrócił, najwyraźniej uznał – z pewnością słusznie – że nikt nie żąda od niego odpowiedzi i po prostu poszedł po wino.

Kolację, która przebiegała w nastroju dość sztywnym i stonowanym, podano w jadalni, bez powodzenia łączącej wpływy Williama Morrisa i Liberty\*\* oraz blichtr znany ze wzgórz Hollywoodu. Wyso-

\* Doktor Alexandre Manette – postać z powieści Charlesa Dickensa *Opowieść o dwóch miastach*, genialny lekarz, który spędził osiemnaście lat jako sekretny więzień w Bastylii.

\*\* Styl Liberty – popularne, zwłaszcza we Włoszech, określenie secesji, od nazwy londyńskiej firmy Liberty and Co., produkującej m.in. tkaniny z drukowanymi secesyjnymi wzorami.

kie, wielodzielne okna, ciężki rzeźbiony kominiek z kamienia i kolejne połączenie sprężystego dywanu składały się na całość osobliwie płaską i pozbawioną wyrazu, jakby stół i krzesła z niewiadomych przyczyn umieszczono w pustej, ale kosztownej kancelarii adwokackiej. Za to jedzenie – którego Damian, niestety, nie był w stanie docenić – było przepyszne, a wybrane przez niego margaux dało nam obu dużo przyjemności. Jednakże z konieczności musieliśmy rozmawiać dość zdawkowo, bo milczący kamerdynier – dowiedziałem się już, że nazywa się Bassett – nie opuszczał nas ani na chwilę. Przypomniałem sobie, jak jedna z moich ciotek, wspominając czasy przedwojenne, opowiadała, że zdumiewały ją rozmowy przy stole, których była świadkiem, zupełnie nieskrępowane obecnością służby. Sekrety polityczne, plotki rodzinne, prywatne uchybienia, wszystko to wylewało się z bulgotem ku uciesze słuchających bacznie lokajów, którzy – nawet jeśli nie publikowali memuarów, jak to się zdarza w naszej bardziej chciwej i nieobyčajnej epoce – zapewne ubarwili później niejedną wieczór w miejscowym pubie. Niezrównana wiara tamtego pokolenia we własny styl życia to coś, co utraciliśmy na zawsze. Czy nam się to podoba, czy nie – a mnie właściwie się podoba – z biegiem czasu zyskaliśmy świadomość człowieczeństwa ludzi, którzy nas obsługują. Dla każdego, kto urodził się po roku 1940, wszystkie ściany mają uszy.

Tak więc paplaliśmy o tym i owym. Zapytał o moich rodziców, a ja zapytałem o jego. Mój ojciec w zasadzie dość go lubił, matka jednak, ze swym bardziej niezawodnym instynktem przetrwania, od razu wyczuła kłopoty. W każdym razie tymczasem umarła, podobnie jak rodzice Damiana, więc nie za bardzo było o czym mówić. Potem nastąpiły wspomnienia o różnych wspólnych znajomych z tamtego okresu, toteż przed odejściem od stołu zdążyliśmy omówić potężny katalog rozczarowań zawodowych, rozwodów i przedwczesnych zgonów.

Wstając, Damian zwrócił się do Bassetta:

– Sądziś, że moglibyśmy wypić kawę w bibliotece? – Jak zwykle pytał cicho, jakby odmowa w ogóle wchodziła w rachubę. Ciekawe, pomyślałem, co by się stało, gdyby ktoś potraktował serio jedno z jego nieśmiałył polecień? „Nie, sir. Obawiam się, że teraz jestem trochę zajęty. Może później zdołam panu przynieść trochę kawy”. Chciałbym to chociaż raz zobaczyć. Lecz kamerdyner doskonale rozumiał, co jest grane, poszedł więc wykonać zawołany rozkaz, a tymczasem my z Damianem przeniesiliśmy się do najładniejszego pokoju, jaki tu dotychczas widziałem. Biblioteka urządzona była tak, jakby któryś z poprzednich właścicieli, być może sam Damian, w całości zakupił księgozbiór ze znacznie starszego domu, w komplecie z ciemnymi, lśniącymi półkami i parawanem o prześliznie rzeźbionych kolumnkach. W delikatnym kominku z różowawego marmuru pełgał ogień, rozpalony na nasze przybycie na stalowym, błyszczącym ruszcie, i ciepły odblask płomieni na skórzanych oprawach oraz kilka znakomitych obrazów – między innymi duży pejzaż morski, bodajże Turnera, oraz portret dziewczyny pędzła Lawrence’a – nadawały pomieszczeniu przytulną atmosferę, której brakowało gdzie indziej. Ocenilem Damiana niesprawiedliwie. To ewidentnie brak zainteresowania, a nie brak gustu, sprawił, że inne pokoje wyglądały tak nudno. Tutaj toczyło się jego prawdziwe życie.

Przyniesiono drinki i kawę, po czym wreszcie zostaliśmy sami.

– Świetnie sobie radziś – powiedziałem. – Moje gratulacje.

– Dziwisz się?

– Nieszczególnie.

Skinął potakująco głową.

– Jeśli chodzi ci o to, że zawsze byłem ambitny, to owszem, przyznaję się.

– Chodzi mi raczej o to, że nigdy nie przyjmowałeś odmowy do wiadomości.

Pokręcił głową.

– Tego bym nie powiedział – odrzekł. Nie byłem pewny, co ma na myśli, lecz nim zacząłem drążyć temat, odezwał się ponownie.

– Wiedziałem, kiedy przegrywam, nawet wtedy. Jeśli sytuacja nie rokowała powodzenia, godziłem się z porażką i szedłem dalej. To musisz przyznać.

Nic podobnego.

– Bzdura – odparłem. – W żadnym wypadku tego nie przyznam. Być może w późniejszym życiu dorobiłeś się pewnych zalet, tego nie potrafię stwierdzić. Ale kiedy cię znałem, byłeś nienasycony i zupełnie nie umiałeś przegrywać, o czym sam wiem najlepiej.

Damian był wyraźnie zaskoczony. Być może zbyt wiele czasu spędzał z ludźmi, którym w ten czy inny sposób płacił, żeby się z nim zgadzali, i zapomniał już, że może być inaczej. Upił łyżeczek brandy, po chwili jednak pokiwał głową.

– No cóż, jakkolwiek było, teraz przegrałem. – I w odpowiedzi na moje milczące pytanie wyjaśnił: – Mam nieoperowalnego raka trzustki. Nie da się nic zrobić. Lekarz daje mi jakieś trzy miesiące życia.

– Oni się często mylą.

– Oni myślą się czasem. Ale nie w moim przypadku. Kilka tygodni w jedną czy w drugą stronę, ale to wszystko.

– Och. – Pokiwałem głową. Nie bardzo wiem, jak powinienem reagować na tego rodzaju deklaracje, gdyż ludzkie potrzeby potrafią ogromnie się różnić. Wątpiłem, by Damian spodziewał się po mnie jęków, szlochów bądź propozycji terapii alternatywnych opartych na diecie makrobiotycznej, ale nigdy nic nie wiadomo. Czekałem.

– Nie sądz, że się miotam i pomstuję na niesprawiedliwość losu. Moje życie na swój sposób dobiegło naturalnego końca.

– To znaczy?

– Miałem, jak podkreślasz, sporo szczęścia. Dobrze żyłem. Podróżowałem. Nie ma nic, czym chciałbym się nadal zajmować zawodowo, a to już coś. Wiesz, co robiłem?

– Właściwie nie.

– Zbudowałem firmę software’ową. Jedni z pierwszych dostrzegliśmy, jaki to ma potencjał.

– To się wam udało.

– Właśnie. To brzmi nudno, ale bawiłem się świetnie. W każdym razie sprzedałem interes i nie zamierzam zaczynać następnego.

– Tego nie możesz wiedzieć. – Nie mam pojęcia, po co tak powiedziałem, bo oczywiście to akurat wiedział doskonale.

– Nie narzekam. Sprzedałem przedsiębiorstwo fajnej, dużej firmie amerykańskiej. Zapłaciła mi tyle pieniędzy, że mógłbym postawić na nogi całe Malawi.

– Ale nie zamierzasz wydać ich w ten sposób.

– Nie, raczej nie.

Zawahał się. Byłem niemal pewien, że zbliżamy się do tak zwanego clou mojego przyjazdu, lecz najwyraźniej nie potrafił posunąć się dalej. Pomyślałem, że spróbuję się sprężyć i przyspieszyć sprawę.

– A twoje życie osobiste? – zapytałem przyjaźnie.

Zadumał się.

– Właściwie nie istnieje. Nic, co byłoby godne tej nazwy. Coś na pocieszenie od czasu do czasu, ale od wielu lat nic ponadto. W ogóle nie jestem towarzyski.

– Byłeś, kiedy cię znałem. – Poczułem się obezwładniony myślą o „czymś na pocieszenie od czasu do czasu”. A to dopiero! Postanowiłem trzymać się z dala od wszelkich prób wyjaśnienia.

Ale nie musiałem podejmować dalszych działań; Damian się rozkręcił.

– Jak wiesz, nie podobał mi się świat, do którego mnie wprowadziłeś. – Spojrzał na mnie wyzywająco, lecz widząc, że nie mam nic do powiedzenia, ciągnął dalej: – Jednak, paradoksalnie, kiedy go opuściłem, odkryłem, że rozrywki mojego starego świata też przestały mi się podobać. Po jakimś czasie w ogóle zrezygnowałem z imprezowania.

– Ożeniłeś się?

– Raz. Niedługo to trwało.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Ożeniłem się tylko dlatego, że osiągnąłem wiek, kiedy czymś dziwnym było nie mieć żony. Miałem trzy-

dzieści sześć albo trzydzieści siedem lat i ludzie na mój widok zaczęli unosić brwi. Oczywiście byłem głupi. Należało poczekać jeszcze pięć lat: moi znajomi zaczęliby się rozwodzić i nie byłbym jedyną małpą w cyrku.

– Znałem ją?

– O, nie. Uciekłem z waszej paczki i zapewniam cię, że nie pragnąłem do niej wracać.

– My również nie mieliśmy najmniejszej chęci cię oglądać – powiedziałem. W tym wszystkim było coś, co powitałem z ulgą. Wzajemna antypatia wreszcie się ujawniła i od razu poczułem się swobodniej, niż odgrywając przez cały wieczór jakąś komedię pseudoprzyjaźni. – Poza tym, nie masz pojęcia, jaka jest moja paczka. Nie wiesz o mnie nic. Tamtego wieczoru moje życie zmieniło się tak samo jak twoje. Było wiele sposobów, żeby czterdzieści lat temu wyrwać się z londyńskiego Sezonu.

Nie zaprotestował.

– Oczywiście masz słuszość. Przepraszam. Ale naprawdę nie mogłeś poznać Suzanne. Kiedy ją spotkałem, prowadziła centrum fitness pod Leatherhead. – Milcząc, przyznałem w duchu, że to mało prawdopodobne, bym na swojej drodze natrafił na byłą panią Baxter. Damian westchnął ze znużeniem. – Starła się, jak mogła. Nie chcę źle o niej mówić. Ale nie istniało nic, co by nas mocniej wiązało. – Zawahał się. – Ty w końcu się nie ożeniłeś, prawda?

– Nie. Nie ożeniłem się. W końcu. – Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzałem, ale chyba nie był zaskoczony. Temat był bolesny dla mnie, a niewygodny dla niego – przynajmniej powinien być, do cholery. Postanowiłem wrócić na pewniejszy grunt.

– Co się stało z twoją żoną?

– Och, ponownie wyszła za męża. Za całkiem miłego faceta. Prowadzi firmę sprzedającą odzież sportową, więc przypuszczalnie mają ze sobą więcej wspólnego niż my, gdy byliśmy małżeństwem.

– Jakież dzieci?

– Dwaj chłopcy i dziewczynka. Chociaż nie wiem, co się z nimi dzieje.

– To znaczy, z tobą.

Pokręcił głową.

– Nie, wspólnych dzieci nie było. – Tym razem jego milczenie robiło wrażenie bardzo głębokiego. Po chwili dokończył myśl: – Ja nie mogę mieć dzieci. – Wypowiedź tę, pozornie ostateczną, wygłosił tonem dziwnie nieostatecznym, niemal jakby stosował ów importowany z Australii pytańnik, obcy i zbędny, którym młodzież ostatnio kończy każde zdanie. – Chcę powiedzieć – ciągnął – że nie mogłem ich mieć, już kiedy brałem ślub.

Urwał, jakby dając mi czas na przetrwanie tego osobliwego stwierdzenia. O co u licha mu chodziło? Chyba nie był wykastrowany, kiedy składał kierownicze centrum fitnessu propozycję małżeństwa? Ponieważ sam poruszył temat, nie miałem skrupułów, chcąc dowiedzieć się więcej, ale jak się okazało, odpowiedział mi, zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać.

– Chodziliśmy do różnych lekarzy, a oni powiedzieli, że mam zero plemników w spermie.

Nawet w naszym współczesnym, chaotycznym społeczeństwie sensowna reakcja na taką uwagę wymaga pewnego wysiłku.

– Co za rozczarowanie – bąknąłem w końcu.

– Tak. Owszem. Rozczarowanie, i to wielkie.

Ewidentnie wybrałem złe określenie.

– Nie dało się nic zrobić?

– Właściwie nie. Snuli hipotezy, jak do tego doszło, ale nikt nie sądził, by to dało się odwrócić. I tyle.

– Mogłeś spróbować czegoś innego. Teraz nauka jest taka pomysłowa. – Nie potrafiłem się zmusić, żeby przedstawić problem bardziej konkretnie.

Potrząsnął głową.

– Nie umiałbym wychowywać cudzego dziecka. Suzanne kiedyś próbowała mnie przekonać, ale nie mogłem na to przystać. Po

prostu nie widziałem sensu. Jeśli dziecko nie jest twoje, to czy to nie przypomina zabawy lalkami? Owszem, to są żywe lalki. Ale wciąż lalki.

– Wiele osób nie zgodziłoby się z tobą.

– Wiem – przytaknął. – Suzanne do nich należała. Nie rozumiała, dlaczego musimy być bezdzietni, skoro to nie jej wina, i trudno nie przyznać jej racji. Chyba już w chwili, gdy wychodziliśmy od lekarza, wiedziałem, że się rozstaniemy. – Wstał, żeby nalać sobie kolejnego drinka. Zapracował na to.

– Rozumiem – odrzekłem, by zapełnić czymś ciszę, trochę obawiając się dalszego ciągu.

Istotnie, kiedy znów przemówił, jego głos brzmiał bardziej stanowczo niż przedtem.

– Dwóch specjalistów uznało, że to może być skutek przebytej w dorosłym wieku świnki.

– Myślałem, że to mit, którym straszy się pobudliwych młodzieńców.

– To się zdarza, chociaż bardzo rzadko. Choroba, zwana przyusznicowym zapaleniem jąder. Zwykle mija bez śladu, ale od czasu do czasu jest inaczej. Nie przechodziłem świnki jako dziecko i nie byłem świadomy, bym kiedykolwiek się nią zaraził, ale po zastanowieniu przypomniałem sobie, że kilka dni po powrocie z Portugalii w lipcu 1970 roku okropnie rozboleło mnie gardło. Dwa tygodnie leżałem w łóżku i gruczoły rzeczywiście mi spuchły, więc może to prawda.

Poruszyłem się w fotelu i upiłem ze szklanki kolejny łyk. Moja obecność tutaj zaczęła zyskiwać swoisty, nieprzyjemny sens. Poniekąd namówiłem Damiana na wyjazd do Portugalii z grupą przyjaciół. Bóg mi świadkiem, rzecz była bardziej skomplikowana, lecz miałem również konkretny powód: nasza ówczesna koleżanka prosiła, bym przyjechał z Damianem, bo martwiła się, że jedzie za mało mężczyzn. Jak się okazało, skutki były katastrofalne. I co, teraz chciał mnie obwiniać o to, że jest bezpłodny? Zaprosił mnie do

siebie, żebym przyznał się do błędu? Żebym powiedział, że w tamten weekend wyrządziłem mu taką samą krzywdę jak on mnie?

– Nie pamiętam, żeby ktoś tam był chory – powiedziałem.

On jednak pamiętał.

– Dziewczyna tego faceta, do którego należała willa. Ta neurotyczna Amerykanka z wyblakłymi włosami. Jak ona miała na imię? Alice? Alix? Przez cały nasz pobyt narzekała, że boli ją gardło.

– Masz znakomitą pamięć.

– Miałem dużo czasu na myślenie.

Obraz wybielonej słońcem willi w Estorilu, który od czterdziestu lat wypierałem ze świadomości, nagle wypełnił moje myśli. Rozgrzana biała plaża poniżej tarasu, pijane kolacje, wibrujące seksem i podtekstami, wspinaczka do nawiedzonego zamku w Cintrze, kąpiele w szepczących błękitnych wodach, wyczekiwanie na wielkim placu katedralnym w Lizbonie, żeby zobaczyć ciało Salazara... Wszystkie ówczesne doznania rozkwitły jaskrawym, barwnym technikołorem – wakacje z rodzaju tych, które stanowią pomost między dorastaniem i dorosłością, ze wszelkimi niebezpieczeństwami tej podróży, wakacje, po których wraca się do domu zupełnie innym, niż się wyruszyło. W samej rzeczy, wakacje te odmieniły moje życie. Kiwnąłem głową.

– No cóż, pewnie tak.

– Oczywiście, jeśli taki był powód, to mogłem spłodzić dziecko wcześniej.

Mówił z przejęciem, lecz nie potrafiłem traktować tego poważnie.

– Nawet ty nie miałbyś na to czasu! Mieliśmy po dwadzieścia jeden lat! W dzisiejszej epoce każda trzynastolatka z bloku może zajść w ciążę, ale wtedy było inaczej. – Uśmiechnąłem się pokrępiąco, ale nie patrzył na mnie. Stał przy urodziwym *bureau plat*\*

\* *Bureau plat* (franc.) – rodzaj osiemnastowiecznego biurka z dwiema lub najwyżej trzema szufladami i płaskim blatem, wykorzystywanego głównie do pisania i przechowywania korespondencji.

pod obrazem Lawrence’a i otwierał szufladę, z której następnie wyjął kopertę i podał mi ją. Miała swoje lata; stempel pocztowy, chyba „Chelsea, 23 grudnia 1990”, z trudem dało się odcyfrować.

– Proszę, przeczytaj.

Ostrożnie rozłożyłem kartkę. List był w całości napisany na maszynie, bez ręcznego nagłówka i podpisu. Zaczynał się „Drogi Gnojku”. Uroczo. Spojrzałem na Damiana, unosząc brwi.

– Czytaj, czytaj.

Drogi Gnojku, już prawie Święta. Jest późno, jestem po wódce, więc wreszcie mam odwagę ci napisać, że przez ciebie od dziewiętnastu lat żyję w kłamstwie. Codziennie patrzę na to moje kłamstwo i widzę, że to wszystko twoja wina. Nikt nigdy nie pozna prawdy, pewnie prędzej ten list spale, niż go wyślę, ale chcę, żebyś wiedział, jaki skutek miało twoje łajdactwo i moja słabość. Nie potrafię cię przekląć, to niemożliwe, ale nigdy nie wybaczę ci tego, jak potoczyło się moje życie. Żaden człowiek nie zasługuje na coś takiego.

Tekst był podpisany „Głuptak”.

Wpatrzyłem się w kartkę.

– A jednak go wysłała – powiedziałem. – Ciekawe, czy miała taki zamiar.

– Może ktoś inny wziął kopertę ze stolika w holu i wysłał bez jej wiedzy.

Uznałem, że to wielce prawdopodobne.

– To musiał być dla niej szok.

– Jesteś pewien, że to „ona”?

Skinąłem głową.

– A ty nie? „Żyję w kłamstwie”, „twoje łajdactwo i moja słabość”.

Nie brzmi to szczególnie po męsku. Podoba mi się, że podpisała się „głuptak”, to mi przypomina teksty niektórych piosenek z naszej młodości. W każdym razie zakładam, że łajdactwo, o którym

mowa, ma związek z jakimś romanssem; raczej nie pisał tego ktoś rozczarowany złą lokatą pieniędzy. A zatem autor musi być kobietą, prawda? Chyba że twoje życie zoczyło na nowe, wcześniej nieprzetarte szlaki?

– Tak, musi być kobietą.

– No więc właśnie – uśmiechnąłem się. – Podoba mi się, że nie potrafi cię przekląć. To zupełnie Keats, no wiesz, ten wers z poematu *Izabella albo doniczka bazylii*: „Samotnie płacze za niespełnionym szczęściem”.

– Więc, twoim zdaniem, co to znaczy?

Nie pojmowałem, jak można mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

– To chyba żadna zagadka – powiedziałem. Ale czekał, więc sformułowałem to jasno. – Wygląda na to, że kogoś zapłodniłeś.

– Tak.

– I przypuszczalnie oszukałeś ją, przysięgając dożgonną miłość, aby ją skłonić, by zdjęła ubranie.

– Bardzo jesteś surowy.

– Tak? Nie miałem takiego zamiaru. Sam często próbowałem tej sztuczki, jak wszyscy chłopcy w tamtych czasach. „Słabość” wskazuje, że w jej wypadku ci się udało. – Jednakże pytanie Damiana, co znaczy ten list, trochę mnie zastanowiło. Czyżby uważał, że sprawy nie przedstawiają się tak prosto? – Ale dlaczego pytasz? Można to interpretować inaczej? Ta kobieta kochała się w tobie, więc jej życie jest kłamstwem, bo wyszła za kogoś innego, chociaż wolała być z tobą. Czy tak właśnie sądzisz?

– Nie. W zasadzie nie. Czy napisałaby po dwudziestu latach, gdyby tylko o to jej chodziło?

– Niektórym te rzeczy przychodzą wolniej niż innym.

– „Codziennie patrzę na moje kłamstwo”, „nikt nigdy nie pozna prawdy”. Jakiej prawdy? – zadał to pytanie tonem wskazującym, że odpowiedź nie budzi wątpliwości. Z czym się zgadzałem.

Pokiwałem głową.

– Mówiłem: zaszła z tobą w ciążę.

Wydawał się niemal uspokojony, że nie widzę innego możliwego znaczenia, jakby poddawał mnie próbie.

– I urodziła to dziecko – ciągnął.

– Na to wygląda. Chociaż już samo to czyni z całej sprawy swego rodzaju anachronizm. Ciekawe, czemu się go nie pozbyła.

Damian spojrzał na mnie wyniosłe i parsknął lekceważąco. Była to jego firmowa specjalność, którą pamiętałem aż za dobrze.

– Zapewne aborcja była niezgodna z jej zasadami. Niektórzy mają jakieś zasady.

Teraz z kolei ja parsknąłem.

– Nie zamierzam słuchać twoich pouczeń w tym względzie – odparłem, co zupełnie słusznie pominął milczeniem. Wszystko to zaczęło mnie irytować. Dlaczego robiliśmy z tego taką aferę? – No więc dobrze. Urodziła to dziecko. I nikt nie wie, że ty jesteś ojcem. Koniec pieśni. – Spojrzałem na starannie przechowaną kopertę. – Bo to był koniec, czy tak? Czy było coś jeszcze? Później?

Skinął głową.

– Właśnie tak sobie wtedy pomyślałem. Że to wstęp do jakiejś... bo ja wiem... próby wyłudzenia?

– Wyłudzenia?

– Tak to określił mój adwokat. Poszedłem z tym do niego. Zrobił sobie kopię listu i kazał mi zaczekać, aż ona znów się skontaktuje. Powiedział, że to wyraźna przygrywka do żądań finansowych i że powinniśmy przygotować jakiś plan. W tamtych czasach prasa trochę o mnie pisała, nieźle mi się powodziło. Prawdopodobnie dotarło do niej, że jej dziecko ma bogatego tatusia i przyszła pora, żeby zdobyć łatwą kasę. Mój potomek miał wtedy jakieś dwadzieścia lat...

– Dziewiętnaście – wtrąciłem. – Żyła w kłamstwie od dziewiętnastu lat.

Przez chwilę patrzył na mnie zaskoczony, po czym znów pokiwał głową.

– No dobrze, dziewiętnaście, i właśnie wchodził w dorosłe życie. Bardzo by mu się przydało trochę gotówki. – Spojrzał na mnie. Nie



miałem nic do dodania; zgadzałem się z adwokatem, jego wersja trzymała się kupy. – Coś bym jej dał – rzekł Damian obronnym tonem. – Byłem na to całkowicie przygotowany.

– Ale już nie napisała.

– Nie.

– Może umarła.

– Może. Chociaż to nieco melodramatyczne. A może, jak mówisz, list został wysłany przez pomyłkę. W każdym razie więcej się nie odezwała i cała sprawa trochę się rozmyła.

– Więc czemu teraz do niej wracamy?

Nie odpowiedział od razu. Wstał i podszedł do kominka po drugiej stronie pokoju. Ujął stosowny przyrząd i w głębokim skupieniu zaczął poprawiać płonące polano, które wysunęło się z paleniska.

– Rzecz w tym – rzekł w końcu, wciąż wpatrzony w płomień, choć przypuszczalnie mówił do mnie – że chcę odnaleźć to dziecko.

Wydało mi się to wysoce nielogicznie. Jeśli chciał postąpić „jak należy”, to dlaczego nie zrobił tego osiemnaście lat temu, kiedy to miałyby jakiś sens?

– Czy aby nie odrobinę za późno? – zapytałem. – Odgrywanie tatusia nie byłoby łatwe, nawet gdy dostałeś ten list, ale teraz to „dziecko”, kobieta lub mężczyzna, ma już przeszło trzydzieści lat. To dorosła osoba, która jest tym, kim jest; za dużo, by ją ukształtować.

Ale to najwyraźniej nie miało żadnego znaczenia. Damian w ogóle mnie nie słuchał.

– Chcę je odnaleźć – powtórzył. – Chcę, żebyś ty je odnalazł.

Głupio byłoby udawać, że na tym etapie nie zorientowałem się jeszcze, dokąd to wszystko zmierza. Ale zadanie bynajmniej nie napawało mnie entuzjazmem. Nie byłem też wcale pewny, czy się go podejmę.

– Dlaczego ja?

– Zanim cię poznałem, spałem tylko z czterema dziewczynami. – Urwał. Lekko uniosłem brwi. Każdy mężczyzna z mojego pokolenia byłby pod wrażeniem. Kiedy go poznałem, miałem lat

dziewiętnaście i nie pamiętam, bym zdążył posunąć się do czegoś więcej niż pocałunek skradziony na potańcówce. Ale on jeszcze nie skończył. – Ze wszystkimi czterema utrzymywałem znajomość aż do wczesnych lat siedemdziesiątych i stanowczo to nie była żadna z nich. Potem trochę balowałem z tobą na mieście i miałem spore wzięcie. Do Portugalii pojechaliśmy ze dwa lata później. A potem byłem już bezpłodny. Poza tym, spójrz, jak ona pisze, spójrz na ten papier, przeczytaj sformułowania. To kobieta wykształcona...

– I komediantka. I pijaczka.

– Co nie przeszkadza, że mogła pochodzić z wyższej sfery.

– Tym bardziej! – Ale jego teoria dała mi do myślenia. – A okres między londyńskim Sezonem a Portugalią?

Pokręcił głową.

– Głównie dziwki i ze dwie znajome z dawnych czasów. Z których żadna przed tamtym latem nie miała dziecka. – Westchnął ciężko. – Tak czy inaczej, człowiek żyje w kłamstwie, tylko jeśli ma coś do stracenia. Coś, co warto zachować, coś, dla czego prawda byłaby zagrożeniem. Napisała do mnie w 1990 roku, kiedy klasy wyższe i średnie stanowiły ostatnią redutę przywiązujących wagę do legalnych narodzin. Każda normalna osoba już dawno puściłaby farbę.

Włożył w tę wypowiedź (oraz w poprawianie ognia) tyle wysiłku, że wyraźnie osłabł i z jękiem osunął się na fotel.

Nie żałowałem go. Wręcz przeciwnie. Niedorzeczność jego żądania uderzyła mnie nagle z całą mocą.

– Ja nie należę do twojego życia. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jesteśmy całkiem różnymi ludźmi. – Nie chciałem go obrazić. Po prostu nie rozumiałem, dlaczego w ogóle mam ponosić odpowiedzialność za to wszystko. – Może znaliśmy się kiedyś, ale teraz to już minęło. Czterdzieści lat temu kilka razy poszliśmy razem na jakieś tańce. I pokłóciliśmy się. Z pewnością są jacyś ludzie, z którymi jesteś znacznie bliżej, niż kiedykolwiek byłeś ze mną. Niemożliwe, żebym był jedyną osobą, która może się tego podjąć.

– Ależ jesteś. Te kobiety pochodziły z twojego środowiska, nie z mojego. Nie mam przyjaciół, którzy by je znali, a nawet wiedzieli, że istnieją. Skoro zaś o tym mowa, w ogóle nie mam innych przyjaciół.

Na mój gust było to zbyt wyrachowane.

– A więc nie masz żadnych przyjaciół, bo ja z pewnością się do nich nie zaliczam. – Naturalnie od razu pożałowałem tych słów. Wierzyłem, że Damian rzeczywiście umiera, więc karanie go za rzeczy, których nie dało się cofnąć, nie miało najmniejszego sensu, bez względu na to, czego bym sobie życzył.

On jednak się uśmiechnął.

– Masz rację. Nie mam przyjaciół. Jak sam doskonale wiesz, nie jest to ten rodzaj związku, który potrafiłbym zrozumieć lub podtrzymać. Jeśli ty mi odmówisz, to nie mam już do kogo się zwrócić. Nie mogę nawet wynająć detektywa. Tylko ktoś wtajemniczony może uzyskać informację, która jest mi potrzebna. – Już chciałem zasugerować, żeby w takim razie sam się tego podjął, lecz spojrzałem na jego drżące, wynędzniałe ciało i słowa zamarły mi na ustach. – Zrobisz to? – zapytał po krótkiej przerwie.

W tym momencie byłem całkiem pewny, że naprawdę nie chcę się tego podjąć. Nie tylko ze względu na niezręczny, drażliwy i czasochłonny charakter całej sprawy, lecz także dlatego, że im dłużej o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że nie mam ochoty dłużyć ani w jego, ani w swojej przeszłości. Epoka, o której mówił, minęła. Minęła dla nas obu. Właściwie nie utrzymywałem kontaktów z żadnym znajomym z tamtych czasów, do czego – o czym dobrze wiedział – on sam również się przyczynił. Co byśmy zyskali, grzebiąc się w tym wszystkim? Postanowiłem po raz ostatni odwołać się do lepszej strony jego natury. W końcu nawet ludzie pokroju Damiana Baxtera w pewnym stopniu ją posiadają.

– Damian, zastanów się. Naprawdę chcesz wywrócić czyjeś życie do góry nogami? Ten mężczyzna czy kobieta wie, kim jest, i ukła-

da sobie życie najlepiej, jak umie. Czy to pomoże jemu albo jej, kiedy się dowie, że jest kimś innym, kimś nieznanym? Gdy straci zaufanie do rodziców lub nawet z nimi zerwie? Chcesz to mieć na sumieniu?

Spojrzał na mnie przeciągle.

– Zostawiam po sobie majątek, który po potrąceniu wszystkich podatków wyniesie ponad pięćset milionów funtów. Zamierzam ustanowić swoje dziecko jedynym spadkobiercą. Jesteś gotów wziąć na siebie odpowiedzialność za odebranie mu należnej schedy? Czy chcesz to mieć na swoim sumieniu?

Naturalnie zachowałbym się dziecinnie, gdybym udawał, że to diametralnie nie zmienia całej sprawy.

– Jak miałbym się do tego zabrać?

Rozluźnił się.

– Dam ci spis wszystkich dziewcząt, z którymi spałem w tamtych latach i które do kwietnia 1971 roku urodziły dziecko.

Znów mi zaimponował. Spis dziewcząt, z którymi spałem w tym samym okresie, z dziećmi lub bez, zmieściłby się na odwrocie wizytówki. Jego działania były niezwykle precyzyjne i dziwnie beznamienne. Dotąd sądziłem, że wymieniamy swego rodzaju ogólnofilozoficzne uwagi, teraz jednak pojąłem, że doszliśmy do tak zwanych konkretów. Najwyraźniej zauważył moje zdziwienie.

– Moja sekretarka poczyniła pewne postępy. Nie ma sensu, żebyś kontaktował się z osobami, które wówczas nie miały dzieci. – Oczywiście miał rację. – Wydaje mi się, że spis jest kompletny.

– A dziewczyny, z którymi spałeś, ale wtedy nie urodziły dzieci?

– Nimi nie będziemy się martwić. Nie ma sensu dodawać sobie roboty. – Uśmiechnął się. – Sporo odsialiśmy. Kilka innych, z którymi spałem, też urodziło wcześniej dzieci, w tej sprawie jednak przytoczę słowa matki cesarzowej Eugenii, która zapytana o ojca swej imperialnej córki, odparła: *Les dates ne correspondent pas\**. –

\* *Les dates ne correspondent pas* (franc.) – daty się nie zgadzają.

Zaśmiał się, uspokojony, że jego plan zmierza do realizacji. – Chcę, żebyś wiedział, że traktuję to bardzo poważnie i że istnieje realna możliwość, że nazwisko tej osoby figuruje w spisie.

– Więc jak mam się do tego zabrać?

– Po prostu się z nimi skontaktuj. Z jednym wyjątkiem mam wszystkie aktualne adresy.

– Czemu nie poprosisz, żeby zrobiły test DNA?

– Kobieta tego typu nigdy by się na to nie zgodziła.

– Tak ich nie lubisz, że widzisz wszystko przez romantyczną mgiełkę. Przypuszczalnie zgodziłaby się każda z nich. A z pewnością zgodziłyby się ich dzieci, gdyby znały powód.

– Nie. – Nagle znów zrobił się bardzo stanowczy. Dostrzegłem, że mój komentarz go rozdrażnił. – Nie chcę, żeby sprawa nabrała rozgłosu. Tylko moje dziecko ma wiedzieć, że go szukam. Kiedy dostanie pieniądze, samo zadecyduje, czy ogłosić, skąd i dlaczego je ma. Dopóki to nie nastąpi, wszystko odbywa się dla mojej prywatnej satysfakcji, nie do konsumpcji publicznej. Wystarczy, że test zrobi ktoś, kto nie jest moim dzieckiem, a tydzień później przeczytamy o tym w „Daily Mail”. – Potrząsnął głową. – Może zrobimy im test na końcu, ale dopiero wtedy, kiedy wybierzesz mi kandydatów na potomków.

– Ale przypuśćmy, że któraś z tych kobiet urodziła dziecko potajemnie i oddała je do adopcji?

– Nie zrobiła tego. Przynajmniej nie zrobiła tego matka mojego dziecka.

– Skąd wiesz?

– Bo wtedy nie patrzyłaby codziennie na swoje kłamstwo.

Nie miałem nic więcej do powiedzenia, przynajmniej dopóki się nie zastanowię, co Damian zrozumiał bez dalszej dyskusji. Chwiejnie podniósł się na nogi.

– Teraz idę spać. Od miesięcy nie kładłem się tak późno. Spis znajdziesz w kopercie w swoim pokoju. Jeśli zechcesz, możemy do tego wrócić jutro rano, zanim wyjedziesz. Ryzykując, że nazwiesz

to prostactwem, powiem jeszcze, że w kopercie znajdziesz także kartę kredytową na pokrycie wszystkich kosztów, jakimi zechcesz mnie obciążyć w trakcie poszukiwań. Nie będę kwestionował użytku, jaki z niej zrobisz.

Ostatnie zdanie szczególnie mnie rozzłościło, gdyż celowo zostało sformułowane w taki sposób, żebym docenił jego wielkoduszność. Ale zlecenie nie miało nic wspólnego z wielkodusznością. Było to ohydne wymuszenie.

– Na razie się nie zgodziłem – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że się zgodzisz. – Przy drzwiach przystanął. – Czy jeszcze się z nią widujesz? – zadał pytanie, pewny, że nie musi bliżej określać osoby, której dotyczyło. Nie mylił się.

– Nie. Właściwie nie. – Zastanawiałem się przez pełną bólu chwilę. – Bardzo rzadko, na przyjęciach, ślubach lub innych takich. Ale tak naprawdę, to nie.

– Nie jesteście wrogami?

– Och, nie. Uśmiechamy się. Nawet rozmawiamy. Z pewnością nie jesteśmy wrogami. Nie jesteśmy niczym.

Zawahał się, jakby niepewny, czy podążać tą ścieżką.

– Wiesz, że byłem szalony.

– Tak.

– Ale chcę, żebyś zrozumiał, że ja też o tym wiem. Zupełnie oszalałem. – Urwał, jakby spodziewając się po mnie jakiejś stosownej reakcji. Ale żadnej reakcji być nie mogło. – Czy to coś pomoże, jeśli powiem, że mi przykro? – zapytał.

– Nieszczególnie.

Skinął głową, przyjmując to do wiadomości. Obaj wiedzieliśmy, że nie pozostało nic więcej do powiedzenia. – Zostań na dole tak długo, jak zechcesz. Napij się jeszcze whisky, obejrzyj książki. Niektóre mogą cię zainteresować.

Ale ja jeszcze nie skończyłem.

– Dlaczego czekałeś do tej pory? – zapytałem. – Dlaczego nie poszukałeś informacji od razu, kiedy dostałeś ten list?

Zawahał się i zamyślił, a światło wpadające z holu przez otwarte drzwi pogłębiło zmarszczki na jego zniszczonej twarzy. Przypuszczalnie tysiąc razy dziennie zadawał sobie to samo pytanie.

– Nie wiem. Nie do końca. Może nie byłem w stanie znieść uczucia, że ktoś rości sobie do mnie jakieś prawa. Nie wiedziałem, jak zdołam odnaleźć i zidentyfikować tę osobę, nie dając jej równocześnie pewnej władzy nad sobą. I nigdy tak naprawdę nie chciałem dziecka. Dlatego zapewne nie bardzo słuchałem błagań mojej żony. Nie miałem takich ambicji. Nie wydaje mi się, żebym nadawał się na ojca.

– Tymczasem teraz jesteś gotów całkiem obcej osobie przekazać fortunę, za którą można śmiało wybudować niewielkie przemysłowe miasteczko. Dlaczego? Co się zmieniło?

Damian zastanawiał się przez chwilę, po czym leciutko westchnął, unosząc i opuszczając chude ramiona. Marynarka, niegdyś leżąca na nim nienagannie, zwisała luźno z jego wynędzniałego ciała.

– Umieram i nie mam żadnej wiary – rzekł po prostu. – To moja jedyna szansa na nieśmiertelność.

Po czym zniknął, a ja zostałem, by w samotności podziwiać jego bibliotekę.



**Damian Baxter żyje samotnie w wielkim domu.  
Jest bogaty. Bardzo bogaty. Jest także śmiertelnie chory.**

---

Dręczy go pytanie: czy pozostawił dziedzica? Gdy tuż przed czterdziestką się ożenił, był bezpłodny, ale co z jego związkami i przelotnymi romansami z młodości?

Poszukiwania cofają nas do lat sześćdziesiątych – do niezwykłego świata swingującego Londynu, do wystawnych przyjęć i wspaniałych balów, do świata dziewcząt debiutujących w wielkim świecie i ich przystojnych towarzyszy. Do świata, który zmieniał się z dnia na dzień – ale nie zawsze tak, jak oczekiwano.

Niezwykła opowieść o czasie i o tym, co czas robi z nami, powieść, w której nostalgia przeplata się z humorem najwyższej próby.

PATRONAT MEDIALNY

 [lubimy czytać.pl](http://lubimy czytać.pl)

w sprzedaży także



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 39,90 zł